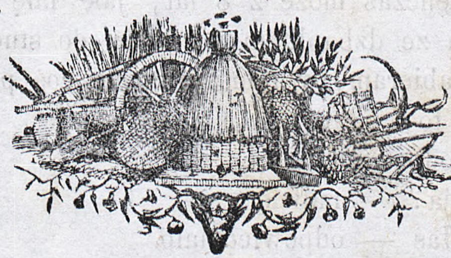
Tom XVI. **Nr. 16.**

1. czerwca **1867.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

SIEROTA.

Powieść z prawdziwego zdarzenia,

przez Skoczka z Radomyśla.

I.

Często się wydarza, że ludzie zbytnie ufają w znikomą zamożność tego świata, pysznią się swoim wyższym stanem, bogactwem, urodą lub nauką swych dzieci i chcieliby, aby tylko oni w świecie mieli znaczenie, a biednego, który z nizkiego stanu pochodzi, radziby jeszcze biedniejszym widzić i nie dać mu nigdzie głowy podnieść. Tacy źli ludzie zwykli mawiać: Ej! co tam! Biedny w gnoju się urodził to i w gnoju niech żyje. Ale ludzie dobrzy, co mają Boga w sercu, radzi widzieć, jak się to jaki chudak na coś znaczniejszego wygramoli. Nikt nie zgadnie, co na kogo przypadnie. Ja sam znałem takich, co to pochodzili ze znacznej familji, a sami i ich dzieci w niwec się rozprószyli — a znowu nie jednego znam, co z nędznej familji wyszedł na znakomitego człowieka. Nie jeden pan zeszedł na żebraka, a nie jeden dziadyga wyszedł na pana. Proszę jeno cierpliwie przemyśleć co ja tu opisuję, a

przekonamy się, jak to Bóg ubogiego z gnoju wyprowadził i z xiążętami na krześle posadził.

Miałem natenczas może z 8 lat, jak mię matka jednego wieczora posłała ze dzbankiem po wodę do studni. Pobiegłem i czemprędzej nabieram, w tem rusza się coś pod studnią.

— A któż to? — pytam.

— Ja — odpowiedziało.

— Co za ja? — mówię.

— To ja Jaś — odpowiedziało.

— A czyjżeś ty?

— Mamin i tatów.

— A gdzież twój tatuś i mama?

— Tatuś poszedł na flis, a mama na bandor (żniwo).

— Wstań i chodź ze mną do domu — mówię.

— Nie chcę do domu, bo tam las i wielka woda — odrzekł z płaczem.

Wziąłem go za rękę i przyprowadziłem do domu. Matka zaświeciła kaganek i przypatrywaliśmy się temu chłopcu. Miał może ze 6 lat i ładny był; czarniawy, gruby a obdarty, że ledwie się jedna łata drugiej trzymała, jeno pasik i kozik były całe. Matka się go znowu wypytywała, jak się zowie i gdzie jego tatuś i mama, a on tak jak i mnie odpowiadał. Jakeśmy mu wspomnięli o domu, to się zapłakał i o tym lesie i wodzie szeplenił. Domyśliwała się matka, że on musi być zkądś z za Sanu z lasów, może od Grębowa.

— Ha! niech ta sierota u nas zostanie do jakiego czasu — mówiła matka — bo nikt nie zgadnie, co na kogo przypadnie.

Zjadł z nami wieczerzę, potem go matka wymyła, wyczesała, dała mu świeżą koszulę, a ja tymczasem wyszukałem mu mojej niebieskiej kapotki, co była na mnie przyciasna. Zmówiłem z nim paciorek i zaprowadziłem go na moje łóżko.

Nazajutrz po śniadaniu, chłopak wystrojony z miejska przypasał sobie rzemyk z kozikiem i poszedł ze mną do szkoły. Profesor znowu się z nim wdał w rozmowę, ale się trudno było dowiedzieć zkąd on jest.

— On musi być zkądś z lasów, to go będziemy nazywali tymczasem Jan Lasowiak — mówił profesor.

Tak więc Jaś Lasowiak chodził ze mną cztery lata razem do szkoły. Zawsze to pamiętam, że przez te lata nie miałem dobrego kolegi jak był Jaś. Można mu było zrobić co chcieć na figiel, to się nigdy przed matką ani w szkole nie skarżył, do zabawy był jedyny, a piszczałki kręcić, klatki robić i ptaki łowić, to już tak nikt nie potrafi. W całem mieście nie było zuchowatszego chłopaka nad Jaśka. Jakeśmy w lesie pasali bydło, to Jasiek już nad nami przewodził. Jednego razu zwołał wszystkich pastuszków i mówi do nich:

— Chłopcy! między nami nie ma starszego, nam trzeba wójta, a który ma nim być?

Wszyscy krzyknęli:

— Ty Jasiu! boś zuch i najmocniejszy.

Mnie zrobił podwójciem i obaśmy siadywali przy ogniu, klatki strugali, a innym bydło nawracać rozkazywali. Jaś był zuchowaty do wszystkiego, tylko do książki niekoniecznie. Mógł się był przez cztery lata więcej nauczyć, ale on jeszcze się wykpiwał. Gdym ukończył w Radomyślu szkołę trywialną, dali mię rodzice do wyższych szkół do Rzeszowa, a on jeszcze w Radomyślu przez dwie zimy douczał się w niemieckiem. Dorósł już 16 lat, tak ojciec zmiarkował, że do nauki tępy, choćby i był w stanie dać go wyżej do szkoły, to nie wart było, bo Jaśka się jeno figle trzymały. Więc rodzice uradzili, żeby go posłać na mularkę do Warszawy, bo do tego miał apetyt, a tęgi chłopak miał po temu i siłę. Matka zładowała co mogła i wyprowadzając go do Wisły gadała mu:

— Jasiu! jesteś sierotą, nawet nie wiemy zkąd jesteś, nikt się o ciebie przez 10 lat nie dopytywał, chowałam cię razem z mojemi dziećmi na pociechę Bogu i pożytek ludziom. Idziesz teraz odemnie w świat, sierotko kochana, pamiętaj o sobie, mów pacierz co dzień, szanuj starszych i bądź zawsze pokornym. Może Bóg litościwy da ci znowu takich ludzi jak my byli dla ciebie, pamiętaj, abyś ich słuchał! Bądź zdrów, niech cię Bóg błogosławi! a pisz, gdzie się obrócisz!

Jasiek przeprawił się za Wisłę i poszedł w świat.

---

*

II.

W mieście Kraśniku, siedm mil od Radomyśla, przypada jarmark na Matkę Boską zielną. Wybrałem ja się przed trzema laty na ten jarmark, żeby jakie szkapiny kupić. Warta to widzieć ten jarmark, bo tam koni, bydła, żydów i kacapów jak much. Gdzie tylko jaka stajenka, to już kupcy na trzy tygodnie naprzód zamówią, że potem i noclegu dostać trudno. Łaziłem po mieście za noclegiem, ale ani rusz, wszędzie napchano, ale z jednej austerji jużem nie chciał pójść, jeno mówię gwałtem do stróża, że się gdzie bądź przenocuję, a stróż pyta mię:

— Cożeście wy panie za jeden?

— Jestem mieszczanin z tamtej strony, za paszportem tu przyszedłem, żeby konie kupić — odrzekłem.

— Tak — mówi stróż — konie kupić? To macie ruble? a z rublami gdzie bądź nie można nocować, bo tu może więcej kupców na pieniądze niżeli na konie. Wam by trzeba wziąść osobną stancyją, ale jak ja ich tu mam 10 ponumerowanych, to we wszystkich jest po parę panów, w jednej tylko jeden pan, ale to widać nie podły, bo ma złoty galon na kołnierzu. Spróbuję ja pójść do niego, możeby was przyjął do swojej stancyji.

Wlazł stróż do tego pokoiku i zaraz wrócił z dobrą nowiną. Wszedłszy do tego pana pokłoniłem się pięknie, a on zaraz kazał siąść koło siebie przy stole, na którym ważył herbatę w mosiężnym garnku. Piękny to był mężczyzna, wąs mospanie czarny zawiesisty, a złota na kołnierzu, na rękawach, guziki, aż blask bił do światła.

— Zkąd i dokąd Bóg prowadzi sławetny sąsiedzie? — pyta mię.

— Zblizka, Wielmożny Panie, ot na jarmark — odrzekłem.

— Idą to tu ponoś ludzie zdaleka na ten sławny jarmark — mówił grzecznie.

— A czy Jaśnie Pan także na jarmark? — pytałem.

— Nie — odrzekł miłym głosem. — Ja jestem inżynier gubernialny z Lublina, objeżdżam wszystkie gościńce i mosty, które należą do budowli rządowych.

Ta jego mowa tak mię przejęła, żem się ośmielił pytać:

— A gdzież pan dawniej był?

— W Odesie — odrzekł.

— A dawniej? — pytam.

— W Petersburgu — odrzekł.

— A pierwej? — pytam.

— W Radomyślu — wymówił z płaczem — i już byłem w jego objęciach.

— Toś ty Jaś Lasowiak?

— Toś ty Skoczek?

Ściskaliśmy się i całowali zapłakani z radości.

— Cudzie nad cudy — mówię — prędzejbym się był śmierci spodział, niżeli ciebie widzieć do tego jeszcze takim panem. Myśmy cię już mieli za umarłego.

— Ja żyję — mówi Jaś — a wy tam jak się macie? Żyją twoi rodzice a moi dobrodzieje kochani?

— Matka umarła — odrzekłem — a ojciec dzięki Bogu pracuje zdrów.

— Jasiu! powiedz mi, czyś mię też poznawał?

— Jenoś się do stołu zbliżył — mówi — tom cię zaraz poznał, alem cię parę minut wytrzymał, czy też mię ty poznasz.

— Oj, poznałbym cię i na końcu świata — mówię. — Przecież my to jak bracia, razemśmy się chowali, z jednej ręki braliśmy chleb i jedna ręka nas chłostała. Czy pamiętasz Jasiu, jak ja to raz ukradł matce cwancygiera na gołębie a tyś bicie dostał.

— Jakby dziś, pamiętam to bicie — mówił z radością — a matka dość się na nas napłakała, bośmy byli zbytnicy. — Kochanku! pozwól niech twoją matkę moją matką nazywam, ona to dała mi wychowanie, bobym był gdzie w gnoju pozostał. Troszczyła się o nas i zawsze gadywała, że z nas nic nie będzie, a my jakoś za pomocą Bożą wyszli na ludzi, bo widzę, że jesteś porządnym mieszczaninem i mnie dzięki Bogu nie bieda. Jedno mi tylko dolega, że moich własnych rodziców nie znam. Biedni oni musieli być bardzo, kiedy mnie porzucili! Czy żyją, czy umarli nie wiem, ale przeczuwam, że może Bóg wszystko wiedzący kiedyś mi choć jedno z nich wyjawi. Wkrótce

myślę się udać do Galicji w okolice Bujanowa i Grębowa, bo ja ztamtąd muszę być rodem Zresztą czy w Galicji, czy w Polsce całej będę się dopytywał, choćby mię nie wiedzieć co kosztowało; może też Bóg da mi ich oglądać jeszcze! — mówił zapłakany Jaś, a potem pyta mię —Jakże ci się powodzi kochanku?

— Ja dzięki Bogu, jestem sobie dobrym gospodarzem i na mularce też paręnaście rubli zarobić mogę, ale ty Jasiu powiedz mi, jakim cudem wyszedłeś aż do złotego kołnierza?

— Popijajmy kochasiu herbatkę, a opowiem ci o mojem nieszczęściu i o szczęściu. Zasiedliśmy wygodnie przy herbacie, a Jaś zaczął opowiadać.

Co Lasowiak opowiadał, to będzie w przyszłym numerze.

Westchnienie do Maryji!

Maryjo! liljo! do Ciebie my ręce
Wznosimy, prosimy, przyjm modły dziecięce
I zanieś do Syna o Matko jedyna,
Maryjo!

Jak Tobie w żałobie i smutku pierś drgała,
Gdyś łkając, wzdychając pod krzyżem bolała,
Tak i my bolejem, pod krzyżem łzy lejem —
Maryjo!

Gdzie smutek, tam skutek Twa pomoc przynosi,
Ból goi, żal koi i ducha podnosi,
Toż we dnie i w nocy bądź nam ku pomocy
Maryjo!

Z niedoli, z niewoli i więzów szatana
Wyswobodź i obudź nas Matko kochana!
Do życia nowego w czyny obfitego —
Maryjo!

Anieli co w bieli z wieńcami na skroni
Bujają, spiewają śród blasku i woni
Niech proszą za nami, Twojemi dziatkami
Maryjo!

Dziewico! Rodzico dzieciątka Bożego,
Przez Ciebie nam w niebie przyczyna do Niego,
Boś Panna Ty święta, bez zmazy poczęta!
Maryjo!

Jakób F.

PIĘKNA KSIĄŻECZKA.

(Dokończenie.)

Pierwszy raz słyszałem ja o tem od Tomasza, a będąc ciekawy i na coś dalszego, rzekłem:

— No, to jedno powietrze! Ale cóż ma słońce do wody i do ziemi?

— A jeszcze więcej ma niż do powietrza! — odparł żywo Tomasz. Bo powiedz mi, zkąd rzeki wodę biorą?

— Z innych małych potoczków — odparłem.

— A zkąd te potoczki wodę biorą?

— Ze źródeł.

— Zkąd te źródła wodę biorą?

— Z deszczów.

— A zkąd deszcz wodę bierze?

— Z chmur.

— Ale zkąd chmury wodę biorą? — Zapytał wreszcie Tomasz.

Zamilkłem tutaj, bom nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, czy z nieba czy zkąd? nie wiedziałem z pewnością.

— Aha, nie wiesz! — zawołał Tomasz śmiejąc się. — No to poczekajże, zrobimy inaczej. Powiedz mi, dokąd rzeki płyną?

— Do innych rzek większych — odparłem.

— A dokąd te inne rzeki płyną?

— Do morza, jak mówią ludzie.

— A dokąd woda z morza płynie?

— Do innego morza — odrzekłem, nie wiedząc już co mówić.

— Ale wszystkie morza mają brzegi i wszystkie są pełne, a przecież jak ty żyjesz i jak twój dziadek żył, to woda ciągle płynie a płynie bez końca, toż powinna już była dotychczas całą ziemię na kilka sążni wysokości zalać. Gdzież się więc woda z morza podziewa?

Zaczerwieniłem się od wstydu, lecz nic nie rzekłem, bom nie wiedział.

— Aha! nie wiesz! — zawołał znowu Tomasz. — Więc powiedz mi, co się stanie z wodą, jeśli garnuszek z nią w ciepłem miejscu, tak naprzykład na węglach żarzących postawisz?

— To się będzie gotować — odrzekłem.

— A jeżeli się tak długo będzie gotować i wygotuje, to cóż się w garnku zostanie?

— Jużci nic — zawołałem.

— A jeżeli ty weźmiesz trochę wody do garnuszka i postawisz ją na słońcu w południe, to co?

— To woda wyschnie i w garnku także nic nie zostanie — odrzekłem — miarkując sobie już coś w głowie.

— A gdzież się ta woda podziała przy gotowaniu i schnięciu? — pytał jeszcze dalej Tomasz.

— Przemieniła się w parę i poszła w powietrze — rzekłem.

— Dobrze — odezwał się Tomasz! — Wyobraź więc sobie morza i rzeki jak garnuszek z wodą, na który słońce świeci ogrzewając go; to z morza i rzek będzie woda wysychać powoli, czyli będzie się przemieniać w parę uchodzącą w powietrze. Wiesz atoli, że gdy para się w zimnem miejscu ochłodzi, naprzykład na szybie okna, to masz z niej znowu wodę, więc i owa para uchodząca z rzek i morza, chłodzi się w górze i robią się z niej chmury, któremi wiatry tu i tam poganiają. A skoro w jednej takiej chmurze więcej się wody nazbiera niż wiatry utrzymać zdołają, wtedy spada na ziemię deszcz, tak potrzebny i niezbędny dla pól zasianych i łąk. Deszcze bywają w górach najczęstsze i najmocniejsze. Otoż gdy w górach dużo wody z deszczów się nazbiera, wtedy wsiąka ona w ziemię szparami i rozpadlinami, zbiera się razem we wnętrzu gór, potem wytryska z nich jako źródełko i cieknie jako potoczek, z kilku takich potoczków bierze wodę rzeka, kilka mniejszych rzek dostarczają wody wielkiej rzece, która płynie do morza, a na tę wszystką wodę świeci znowu codzień słońce i ciągnie ją w chmury. Takie koło z góry na dół i z dołu do góry, robi

woda już od tak dawna, jak dawno świat stoi. A czyby się to wszystko mogło dziać, gdyby nie było słońca?

— Prawda! — zawołałem zdziwiony, wyrozumiawszy już wszystko.

— Zobaczysz teraz — odezwał się znowu Tomasz — jak wpływa słońce na ziemię samą, jako na trzeci pokarm roślin i zwierząt. Oto nie działa tu słońce samo przez się, ale działa przez powietrze i wodę, które jakeś widział, bez słońca istnieć by nie mogły. Powietrze i woda taką mają siłę nad skałami i kamieniami, że one wietrzeją i rozsypują się w ziemię. Bardzo powoli się to dzieje, lecz w długich latach uważałem ja nieraz, że i najtwardsza skała wietrzeje na powietrzu, a woda wymula z niej owe zwietrzałe cząstki i niesie na pola. Na taką ziemię z kamieni zwietrzałych powstałą, działa znowu deszcz i inna wilgoć ziemna w ten sposób, że niektóre cząstki z tej ziemi rozpuszcza i rozpuszczone korzeniom roślin za pokarm daje. Rośliny nie mogłyby żyć bez tego, a rośliny to przecież pokarm zwierząt, rośliny i zwierzęta to pokarm człowieka. Widzisz więc, ze bez słońca, to jest bez światła i ciepła, którem słońce sieje, nie mogłoby być najprzód czystego powietrza nie byłoby więc czem oddychać roślinom, zwierzętom i ludziom; bez słońca nie byłoby deszczu i rosy roślinom tak potrzebnej, nie miałby człowiek wody po źródłach i rzekach i nie mógłby żyć bez niej; bez wody wreszcie i bez powietrza nie mogłaby być ziemia urodzajną, nie rosłyby na niej żadne rośliny, a więc i pożywienia żadnego nie byłoby dla zwierząt i ludzi. Czyli krótko mówiąc, gdyby nie było słońca, nie mogłaby ziemia być taką jak jest dzisiaj, ze wszystkiemi stworzeniemi, które się na niej znajdują.

Przestał mówić stary Tomasz i chwilkę szliśmy spokojnie; nagle zapytał mię:

— Jeżeliś dobrze na to uważał, com ci tu powiedział, więc wytłumacz mi, dlaczego się rolę orze, chcąc żeby była urodzajną?

Nie spodziewałem się tego zapytania; pomyślałem więc małą chwilkę i rzeknę:

— Rośliny wysysają pokarm z powierzchni ziemi tak głęboko, jak długie są ich korzenie; gdybyśmy więc rzucili ziarno

na rolę niezoraną, zkąd się dopiero sprzątnęło, toby to ziarno nie miało się czem nakarmić we wyssanej roli. Na to jest więc orka, ażeby wydobyć na wierzch ziemię niżej leżącą, niż korzenie poprzednich roślin sięgały, gdyż tę wyrzuconą, surową lecz nie wyssaną ziemię, rozkrusza powietrze i deszcz, czyniąc ją zdolną do wykarmienia rośliny.

— Mówisz mój chłopcze jak z książki! — zawołał Tomasz uradowany.

— Ale ja jeszcze jednego nie rozumiem — odezwałem się.

— No, cóż takiego?

— Oto, wiem już, że bez słońca nie byłoby życia żadnego na ziemi, lecz myślę sobie przecież, dlaczego tylko światło słońca tak cudownie na rośliny działa, że one czyste powietrze ze siebie wydychają. A toż przecie takie światło xiężyca, jako oto w tej chwili, powinnoby także tak samo działać, bo jest niemal tak jasne jak słoneczne.

— Ho, ho, daleko mu do tej jasności! — zawołał Tomasz. — Światło xiężyca choćby najmocniejsze, jest tylko do połowy tak mocne jak dzienne światło słońca, gdyż nie jest ono światłem xiężyca właściwem, lecz tylko odbitem. Gdyby słońca nie było, toby i xiężyc nie świecił, bo słońce pożycza swego światła xiężycowi, dlatego jest to światło odbitem, jak naprzykład jasność pożaru łuną na niebie się odbija.

Nie rozumiałem ja, jak to słońce światła swojego xiężycowi pożycza, chciałem się więc wypytać o to starego Tomasza, lecz właśnie co stanęliśmy na sianożęci, a Tomasz się odezwie:

— No, dość tej gawędy, a teraz do roboty! Czy kosiłeś już kiedy?

— Nigdy jeszcze — odrzekłem.

— Więc się musisz nauczyć — rzekł Tomasz i powiesiwszy fuzję na gałęzi, kazał mi zdjąć kobiałkę ze siebie i rozpalić ogień, ażeby było weselej.

Chcąc wykonać polecenie Tomasza, odszedłem nieco w las i nazbierałem całe naręcze suchych gałęzi, a naobrywałem też i świeżej sośniny, żeby od niej jako od smolnej prędzej się zajęło. Była tego cała sterta; ukląkłem koło niej; a wydobywszy krzesiwko i hubkę chciałem już ognia wykrzesać, gdy nagle

pośród głuchej ciszy ozwał się niby śmiech głośny a niby rżenie, zupełnie takie same jak w owej nocy, gdym zbłąkany na dębie nocował. Przestraszyłem się więc bardzo, krzesiwo wypadło mi z ręki; mimowoli podniosłem rękę do czoło i przeżegnałem się.

— Cóż tobie takiego Antku? — zapytał się Tomasz, ładujący też obok mnie kosy.

— A czyście nie słyszeli, jak się gdzieś djabeł w starem drzewie rechocze — odrzekłem cały drżący.

— Gdzie, jaki djabeł? — zapyta Tomasz zdziwiony. Lecz w tej chwili jak na szczęście odezwał się ten sam śmiech, tylko jeszcze bliższy i głośniejszy.

— A co, a co! — poderwę ja czemprędzej, to albo djabeł albo rusałki kogoś łaskoczą.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Tomasz spokojnie. — Jak widzę zabobonny jesteś mój chłopcze. To ani djabeł ani rusałki, jeno kulig, ptak wodny, gdyż ot zaraz jest moczar, gdzie sobie kuligi całą noc gwizdają.

Gdyby to nie był Tomasz mówił, byłbym może nie uwierzył, tak mi się do prawdy niepodobnem wydawało, aby ptaszyna prosta, taki mocny i śmiejący głos miała. Lecz trudno było nie wierzyć, kiedy Tomasz mówił; takiś tam w nim widział i rozum i bystrość i poczciwość.

— Strzeż się zabobonów mój Antku, bo to najstraszniejsze — rzekł mi jeszcze Tomasz — pamiętaj sobie, że człowiek tylko Boga i własnego sumienia bać się powinien, nie zaś jakichś marnych zmysłów. Ani djabłów, ani rusałek nie ma na tej ziemi; sumienie złemu człowiekowi przywodzi na oczy jego własne grzechy, a on myśli, że to djabły i inne straszne potwory. Uczciwy człowiek nigdy tego nie widzi, a jeżeli mu się nieszczęście jakie przytrafi, to nie zwala tego na złe duchy, tylko na własną nieroztropność, jeżeli sobie z nieuwagą postąpił.

— Ale dajmy już spokój gadaniu — dodał Tomasz żywo — rozdmuchaj ogień i bierz kosę do ręki, bo czas ucieka.

Wziąłem ja więc napowrót krzesiwko do ręki, skrzesałem ognia, rozdmuchałem, i wnet ze stosu gałęzi buchał wysoki płomień, że aż weselej zrobiło się człowiekowi.

Zaczęła się nauka koszenia. Tomasz nakazywał mi kosę w ręku mocno trzymać, żeby mi do nogi nie skoczyła i potem nią lekko machać, a zawsze w jednej mierze ku sobie. Nauka szła dość upornie i strasznie nierówno z razu się kosiło; lecz cóżby zaś człowiek nie zrobił, jeżeli ma dobrą wolę po temu. Tak i mnie coraz lepiej i coraz lepiej szło koszenie, a takem się zaciekł w tej robocie, żem ani pamiętał, kiedy się ranek zrobił i dopiero gdy mi koszula do ciała lepnąć zaczęła, a pot na czoło wystąpił, uczułem, że się południe zbliża. Zatrzymałem się więc chwilę i ostrząc kosę osełką, ujrzałem, żeśmy już większą połowę łączki skosili.

Gdy nam już słonko prosto nad głową stanęło, uczułem pewne znużenie w plecach i rękach, a prawie też odstawił kosę stary Tomasz i rzekł mi, że sobie odpocząć należy. Usiedliśmy więc pod brogiem zgłodniali i zmęczeni; chleb i sér z kobiałki tylko się migał, choć go sporo było; poczem rozciągnąwszy się na ziemi zasnąłem jak zabity. Tomasz tymczasem wypalił sobie fajeczkę i także się zdrzymał.

Po jakich dwóch godzinach odpoczynku, wzięliśmy się napowrót do pracy, a nie było jej już wiele, tak, że dobrze jeszcze przed wieczorem zwinęliśmy się het z całą łączką. I byłoby wszystko dobrze, gdyby nie świeża niespodzianka. Oto zbierając się do domu, poszedłem ja wziąść sobie płótniankę, leżącą pomiędzy młodą brzezinką, którą właśnie słonko mocno oświecało. Lecz ledwiem schylił po nią rękę, ukłuło mię coś powyż dłoni, jak gdyby tęgą szpilką. Odskoczyłem, patrzę, a tu żmija łebek do góry i szach, szach między trawę. Porwałem więc czemprędzej za kosę i dalejże ję po łebku, tak, że odpadł z kretesem.

Widząc to stary Tomasz, spojrzał na żmiję i kazał sobie czemprędzej rękę pokazać. Poniżej dłoni był znaczek, ale tak niewielki, że nawet jeszcze krew nie wystąpiła; ale Tomasz podniósł moją rękę, przytknął usta do ranki i wysysał jak mógł najmocnej, a potem skrzesał ognia i zapalił hubki kawałek.

— To trzeba wypalić — rzekł wreszcie.

Ja szarpnąłem ręką i wzbraniałem się, bo to nie bagatela palić żywe ciało. Lecz Tomasz rzekł mi żywo:

— Musisz sobie dać wypalić, bo żmija jadowita i mógłbyś mocno zaniemódz.

Przeląkłem się tego i podałem rękę, bo cóż było robić? Tomasz położył hubkę na ręce; krzyknąłem zrazu, a potem zacisnąłem zęby i aż podskoczyłem do góry, lecz wytrzymałem. Na miejscu ranki wypaliła się mała dziurka okropnie boląca; Tomasz wyszukał między trawą jakiś listeczek mięsisty, przyłożył go na ranę, a potem szmatką owinął, ściągając jak mógł najmocniej. Zimny listek ulżył mi na chwilę; wróciliśmy się więc do żmii, której łebek osobno się rzucał, a ogon osobno. Żmija ta, miarkując po głowie i reszcie ciała, była może na łokieć długa a na cal gruba i szara; wzdłuż całego zgrzbietu miała zygzak z wielkich, szarych, czworograniastych i okrągłych plam, zaś na łebku znak, niby trochę do krzyża podobny.

— A że też ta gadzina choć przecięta, tak się jeszcze rusza! — zawołałem, dmuchałem mimowoli na rękę, gdyż mi bardzo piekło.

— Poczekaj, zaraz ja jej tu doprawię — rzekł Tomasz, a schyliwszy się nad łebkiem odkręcił cybuch od fajki i zalał go sokiem tytuniowym. Rzeczywiście, po małej chwileczce przestał się łebek ruszać. Wtedy Tomasz podniósłszy go z ziemi, rzekł mi trzymając go w ręce:

— Przypatrz się temu łebkowi! Ta i jeszcze druga jadowita żmija, które się u nas czasem trafiają, jest na łebku tak jak i na całem ciele małemi łuszczkami pokryta; inne zaś nieszkodliwe węże mają na łebku dziewięć tafelek, większych od łuski, i po tem najlepiej można je od jadowitych rozróżnić. Lecz cóżeś ty tak pobladł? — zapytał nagle Tomasz patrząc mi w oczy.

Ja czułem już od chwili jakieś zamroczenie w głowie, więc rzeknę:

— Ot, nie wiem czemu, głowa mi się kręci.

— Więc chodźmy do domu, to przejdzie — rzekł Tomasz — rzucając łebek w trawę, niby spokojnie, lecz widziałem po jego twarzy, że był czegoś jakby zatrwożony.

Nie troszczyłem się wiele o to, że mi się w głowie kręciło, bo gorsza ręka spieczona. Zabrałem więc kosę na jedno

ramię, kobiałkę na drugą, a że i Tomasz był już gotowy, więc ruszyliśmy ku domowi. Dobrą chwilę szliśmy milcząco obok siebie, aż wreszcie zapyta się Tomasz:

— A co, kręci ci się w głowie?

— Nie, nic już — odrzekłem — bo i prawda, że oprócz bolącej ręki nic już nie było.

— Chwała Bogu! — zawołał Tomasz, oddychając głęboko.

— A to czemu? — zapytałem.

— Bo to nie drobiazg, jeżeli taka żmija ukąsi; mogłeś się był na dobre rozchorować, ale teraz już ci nic nie będzie.

Dziwiły mię te słowa Tomasza, bom sobie nigdy nie myślał, żeby żmija mogła być tak bardzo szkodną. A kiedym się zaczął o przyczyny i skutki tej jadowitości wypytywać, wtedy Tomasz tak mi jął prawić:

— Wszystkie prawie węże po naszych borach żyjące, nie są wcale jadowite, boć przecie nieraz i do chat załażą, nikomu nie szkodząc, a nasi ludzie mówią nawet, że grzech jest węża zabijać, choć to mądry zabobon, tak jak i wiele innych. Jużci pustota jest to zabijać węża nieszkodliwego, niewinne bardzo stworzenie, lecz żeby za to kara jaka lub zemsta czekać miała, to czysty wymysł ludzki. Strzedz się atoli należy przed żmiją jadowitą, jakąśmy dzisiaj zabili, bo ta jest bardzo niebezpieczna. Na szczęście rzadko trafia się ona w naszych lasach; ja widziałem ją dziś dopiero drugi raz, choć już od lat kilkunastu śród tej puszczy żyję. O wiele częściej widywałem w górach jadowite żmije i tam też nauczyłem się radzić na ukąszenie. W dnie gorące, osobliwie gdy człowiek jest zmęczony i zgrzany, szkodliwem jest bardzo ukąszenie żmiji. Po dwóch lub trzech pacierzach następuje zawrót głowy i to coraz mocniejszy, tak, że się człowiek na nogach utrzymać nie może, lecz upada. Rzadko się trafia, żeby ludzie umierali z ukąszenia, ale jeżeli ratunek nie jest spieszny, jak oto dzisiaj, to ciężką chorobę sprowadza. Żmija taka poluje osobliwie na myszy; po ukąszeniu jest mysz w stanie ledwie trochę się powlec, poczem zdycha. Wtedy żmija czołga się za nią i połyka ją całą, głową na dół. Samym żmijom ukąszenie nic nie szkodzi, nie szkodzi też i człowiekowi, jeżeli się do krwi nie dostanie i z nią nie pomięsza.

Dlatego też ranę taką bezpiecznie wyssać można, jeżeli wargi nie są skaleczone, bo i owszem, jad żmiji wzmacnia żołądek.

Słuchałem Tomasza z uwagą, choć mi rana mocno dokuczała. Jeszcze przed zachodem słońca zaszliśmy do domu. U wrót witał nas łysek radośnem szczekaniem i Basia spiewająca. Więc pierwszą rzeczą było, iż Tomasz kazał Basi przynieść trochę świeżutkiego niesłonego masła i posmarowawszy na szmatkę, przyłożył je na ranę, co mi wielką ulgę sprawiło.

Tomasz miał ten zwyczaj, iż każdego dnia wieczorem obchodził dokoła gospodarstwo, oglądając czy wszystko jest jak się należy. I tą więc razą choć zmęczony, kazawszy Basi czemprędzej gotować wieczerzę, wyszedł popatrzeć na swoją pracę, a że ja nie miałem już co robić, poszedłem z nim razem. Gdyśmy przechodzili koło ziemniaków, odezwał się Tomasz:

— Spóźniłem się trochę tego roku z ziemniakami, lecz że rola jest jarzynna i przeszłego roku tęgo wymierzwiona, a przytem lekka i przenikliwa, jak wszystkie tu na piaskach, więc się i tak powinny udać.

Potem idąc koło pastwiska położonego nad potokiem, wróciliśmy do domu, znalazłszy na polu wszystko w dobrym porządku. Z dziedzinca wstąpiliśmy do sadu, gdzie stało w kącie sześć pniów pszczółek, których Tomasz troskliwie pilnował. Wszystkie pnie były pełne, ostatnie pszczoły wracały jeszcze z lasów, miód niosąc i brzęcząc wesoło. I te stworzenka Boże, wracały na spoczynek po całodziennej pracy, wracały schronić się przed nocnym chłodem i rosą, aby znowu z wschodzącem słońcem rozpocząć dzień pracy.

I otoż jak tym pszczółkom, tak i mnie schodził czas w zagrodzie Tomasza. Pod jego łagodnym zarządem i doradą, pracowałeś spokojnie bez swarów i kłótni i nie wiedziałeś sam, kiedy się co zrobiło, taka ta praca łatwa była. Modlitwą rozpoczynałeś dzień i modlitwą kończyłeś, a jak te pszczółki brzęczą, tak ty znowu spiewałeś sobie wesoło przy pracy, aż się gdzieś w lasach rozlegało. Dzień był poczciwie przepędzony, więc i noc miałeś słodką i spokojną. Dzień i noc leciały po sobie tak prędko jak wieczorne błyskawice, co na pogodę wróżą; więc było mi w tem zaciszu leśnem tak miło, jak chyba tylko w niebie być może."

Otoż tu macie na próbę kilka kartek z tej pięknej książeczki, co ją wasz przyjaciel napisał dla pożytku ludu polskiego. A takich ciekawości, jak w tych paru kartkach, jest pełno w całej książce. A do tego są w niej ładne bardzo obrazki. Książeczkę tę wydrukowali aż w Warszawie, a ztamtąd jej tutaj do Lwowa niebawem całą pakę nadeszlą. Więc jakby kto miał ochotę mieć całą książeczkę, to ją sobie będzie mógł potem kupić we lwowskicj albo jakiej innej księgarni.

RÓŻNOŚCI.

Co wstrzymało Stacha od przeklinania? Pewien pobożny i bogobojny gospodarz miał parobka imieniem Stacha, człowieka bardzo gniewliwego, który przy najmniejszej okoliczności klął straszliwie, że aż włosy powstawały na głowie; a że to był mimo tej wady pracowity chłopak, gospodarz starał się wszelkiemi sposobami, aby go od tego oduczyć.

— To być nie może! — rzekł pewnego razu Stach do gospodarza — abym ja się nie gniewał, kiedy mi wszystko na opak idzie, a ludzie i bydlęta czynią mi tyle przykrości.

Pewnego jednakże poranku gospodarz zawołał do chaty swego parobka i rzekł do niego:

— Patrzajcie-no Stachu, dam wam ot ten rubel nowiusieńki, jeżeli cały dzień dzisiejszy nie wymówicie ani jednego zaklęcia i nie będziecie się gniewać, choćby wam nie wiedzieć co się stało.

Parobek, któremu taka gratka nie zawsze się zdarzała, przystał z chęcią na układ.

Tymczasem drudzy parobcy, dowiedziawszy się o tym zakładzie Stacha, umówili się między sobą potajemnie, aby go jakimkolwiek sposobem rozgniewać, by tego rubla nie dostał; lecz choć mu cały dzień dokuczali, choć tylko co mogli wymyślić, to na złość robili, Stach przecie cały dzień wytrzymał i ani słówka nie pisnął, tylko się śmiał z ich zbytków.

Wieczorem tedy gospadarz dotrzymując słowa, wyjął ze skrzynki nowiutkiego rubla i dając Stachowi, rzekł do niego:

— Czyliż wy się nie wstydzicie, mój Stachu, żeście mogli zwyciężyć ten gniew i powstrzymać się od przekleństwa i obrazy Boskiej za jednego lichego rubla, kiedyście tego odmawiali, gdy was i Dobrodziej napominał i jam was prosił i powiadał, że to grzech i skaranie Boże za taką złość przyjdzie; a przecie nie chcieliście dla miłości Boskiej tego uczynić, co teraz zrobiliście za jednego rubla, jak jaki niewiara, coby i duszę swoją za grosz przedał?

Stach zawstydzony tą bogobojną mową gospodarza, przyrzekł poprawę i odtąd stał się o tyle łagodnym i cierpliwym, jak dawniej był gniewliwym i porywczym.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.